

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

Demagog	757
<i>Stanisław Peplowski</i> : Sędziowie krakowscy	765
<i>Karol Wróblewski</i> : Nowożytny dramat hiszpański	774
X: Przeżyte — Odczute — Wydarzone	783

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.

Przełom.

→ Wiedeń, dnia 9. listopada 1895. ←



Demagog.

Dla pisma we Wiedniu wychodzącego trudno jest o sprawie, która wszystkie umysły we Wiedniu zajmuje nie pisać. Dla pisma polskiego trudno jednak zajmować się szczegółowo sprawą, która interesów naszych zupełnie nie dotyczy.

Co nam Hekuba? co nas Lueger, co nas cały antysemityzm, co nas ruch uliczników wiedeńskich obchodzi?

A jednak przez wypadki ostatniego tygodnia trudno nam przeskoczyć. Są w ruchu tym analogie, jak-że wiernie pewne nasze ruchy przypominające, są figury, jak żeby żywcem przez naszych domorosłych Maratków kopiowane, są pewne powinowactwa ducha, są „dziwne zgodności“ w obieranych środkach, jest cała ta metoda działania demagogicznego, które kiedykolwiek i gdziekolwiek w dziejach ludzkich się pojawiało, zawsze te same przybierało formy, zawsze tych samych używało hasel, w te same popadało błędy i wszędzie jednakowe sprowadzało na społeczeństwo klęski.

Wyprzedziła hr. Badeniego reputacja męża o silnej ręce. Ostatni fakt usprawiedliwił tę reputacją.

Aktem tym szef gabinetu zaświadczył, że jest wiernym sobie, że z poczuciem władzy łączy tę męską wolę, która chce być w zgodzie z interesami państwa, chce rządzić, a nie być rządzoną, ani tem mniej zawojowaną. Żaden klub ani księżę,

żadna hałaśliwa agitacja, żadna pogróżka, ani obawa nie zrobiły swego.

Rozum polityczny zrobił swoje.

Gdyby rząd dla pobudek pewnej wygody parlamentarnej i uniknięcia niemiłych drażliwości za cenę uwolnienia się od przykrej dyskusji parlamentarnej, dla świętego spokoju potwierdził był wybór demagoga wiedeńskiego — uczyniłby rzecz z pewnością najłatwiejszą. Trudniej jest kamień ciągnąć pod górę, aniżeli go na dół spychać. Takie akomodowanie się chwili i prądom bywa zazwyczaj najtańszym w cenie środkiem politycznym.

Najłatwiej jest rzecz pozostawić własnemu jej biegowi i najtaniej jest uzyskać siłę naturalnego ciężenia do środka ziemi.

Byłaby to polityka bezwładności.

Rząd uczynił inaczej. Poświęcił wygodę osobistą, naraził się na wycieczki osobiste i wybryki złego humoru partii „niezatwierdzonych“, wytrzymał atak i nacisk własnych przyjaciół politycznych i w interesie dobra publicznego oparł się powierzchniemu prądowi.

Słaby rząd i słaby parlament poddaje się prądom każdego dnia i staje się w rzeczywistości tylko narzędziem prądów. Są jak okręt bez steru.

Jedna zawierucha, a okręt i załoga idą na dno.

Pierwszym obowiązkiem rządu, który na prawdę chce prowadzić, a nie być igraszką prądów, jest mieć ster, wiedzieć czego się chce, dokąd się zmierza i rozumem i wolą opanować żywiołowy ruch bezmyślnej fali.

Rząd dający się porwać prądom nurtującym w społeczeństwie, będzie jak ten, o którym mówi poeta:

„Du glaubst zu führen und du wirst geführt.“

Prawdziwy mąż stanu stara się poznać prądy nurtujące w danej chwili w społeczeństwie, zgłębić je, zrozumieć, opanować i zaprzędz je do przeprowadzenia najpilniejszych reform, których poczucie wywoływało ferment ludowy.

I tylko tacy w dni burzy i zawieruchy są w stanie nawet publiczną pewną poprowadzić ręką.

Hr. Badeni oparłszy się syrenim głosem antysemityzmu, ma tem większy obowiązek stanąć pod względem polityki ekonomicznej silnie i niedwuznacznie przeciw nieuzasadnionym pretensyom i niesłusznym uroszczeniom kapitalizmu.

A oparłszy się hasłom antysemitów co do ugody węgierskiej, rząd ma obowiązek tem stanowczej uchylić tę concurence deloyale Węgrów i węgierskiego rządu, która na polu ekonomicznym staje się dla nas zgubną.

Właśnie taki akt daje rządowi siłę w obronie silnego poparcia interesów ekonomicznych Austrii przeciw uroszczeniu Węgrów, przy nadchodzącem odnowieniu ugody austro-węgierskiej, bez rzucania cienia pozorów, że czyni to pod presją demagogicznej agitacji antysemitów, co inaczej byłoby uważanem w Węgrzech jako walka przeciw podstawom monarchii. To właśnie rozstrzygnięcie wkłada na rząd również obowiązek przeprowadzenia najpilniejszych reform społecznych, jak podatku dochodowego, podniesienia podatku od akcyjnych towarzystw, podatku od giełdy i ubezpieczenia robotników na starość i od bezrobocia.

* * *

P. Lueger wśród gaudium uliczników, wśród hałasu swych mameluków, wśród teatralnej sceneryi z dramatyczną indygnacją cisnął wczoraj w parlamencie pytanie retoryczne: Dlaczego mnie nie zatwierdzono? Szeł gabinetu odpowiedział mu w sposób stanowczy, ale w formie bardzo delikatnej. Demagog wiedeński jednak nie zna się na grzeczności. Nie trudno jednak pełnej dyskrecyi odpowiedzi hr. Badeniego przetłómaczyć na język zrozumiały.

Cesarz odmówił sankcyi p. Luegerowi na burmistrza miasta Wiednia dlatego, ponieważ p. Lueger nie dawał gwarancyi obiektywnego prowadzenia najwyższego urzędu w gminie. A nie dawał tej gwarancyi dlatego, ponieważ w swej mowie inauguracyjnej jako wybrany burmistrz zapowiedział walkę swym nieprzyjaciółom politycznym. Pan Lueger inaczej postąpić

nie mógł. Pan Lueger spędził piętnaście lat swej działalności w agitacji politycznej. Pan Lueger był mistrzem w inscenowaniu tych agitacyj. Z narażeniem zdrowia własnego pracował p. Lueger przez lata całe. Od knajpy do knajpy, od szynku do szynku, „z pod ciemnej gwiazdy“, aż do „zgniłej ropuchy“ odbywał swe wędrowki demagog wiedeński, agitując, podjudzając, oskarżając, zawsze w interesie sprawy, której poświęcił swe życie.

Wspaniała postać, przepiękny głos, porywająca wymowa, prawdziwie z łaski boskiej, wielka przytomność umysłu, umiejętność analizy logicznej: zaprawdę rzadkie przymioty. W kolebce jego muzy złożyły wszystkie swe dary.

Jedna tylko prawda odmówiła mu swego światła.

Czy wielki mówca, znakomity dyalektyk użył swych talentów w usługach dobra powszechnego?

W pogoni za rozpierającą go ambycją zmarnował te dary natury. Bez prawdy wszystkie te talenty poszły na marne.

Wielkim jest pan Lueger, ale wielkim demagogiem, słynnym stał się także, ale słynnym komedyantem.

Gdzie owoce jego pracy? Gdzie jedna instytucja stworzona przez niego? Gdzie jedna myśl urzeczywistniona? Jedna obietnica spełniona?

Pan Lueger pogardzał uczciwą, sumienną, spokojną i wytrwałą pracą obywatelską.

On wolał związać się z ludźmi, „o których szept chodzi złowrogi“, on z czeluści społecznych dobył na światło najciemniejsze figury, on związał się z najbrudniejszymi rycerzami zawiści, a uczyniwszy sojusz z najdzikszą gawiedzią uliczną, poszedł tam, gdzie sumienia w mysiej jamie siedzą.

Zaraźliwa gorączka podejrzeń i posądzeń opanowała ten zmarnowany talent i pan Lueger sam nie wiedząc kiedy, dał się opanować ruchowi, na którego wytlómaczenie wszystko, tylko nie rozum wystarczy.

Że w tym ruchu mogli się znaleźć kapłani chrześcijańscy, którzy ten ruch swem ramieniem otoczyli, to jest dla serca i sumienia każdego katolika może najboleśniejsem.

Temu bowiem istotnie przeczyć jest trudno, że chrześcijaństwo pojęte w swoim znaczeniu idealnem, powinno być raczej nie sprzyjać polityce rozbudzania nienawiści rasowych i nie pomagać do rozkwitu partji demagogicznych.

Ono widzi i mieści chwałę w miłości bliźniego, a antysemityzm jest negacją miłości, jest potwierdzeniem nienawiści.

Ono uczy prawdy i zaparcia się siebie, a oni uczą pychy i wywyższenia siebie nad innych.

Tymczasem typowy orędownik w ruchu socjalno-chrześcijańskim jak ów rewolucjonista Mickiewicza, pół-klubowy, pół knajpowy

Woła: jam kapłan prawdy! fałszujmy i lżyjmy!

Woła: jam kapłan zgody! — kłómy więc i bijmy! ¹⁾

Agitacya szynkowa, jaką od lat kilku prowadzą we Wiedniu t. zw. partya chrześcijańsko-socjalna, jest niczem innym, jak zwykłą agitacyą przedsocyalistyczną.

W metodzie walki równie bezwzględni, w oskarżeniach osobistych równie bezczelni, w rozluźnianiu stosunków społecznych równie zwycięzcy, antysemita nie są partya des dummen Kerls von Wien, jak się wyraził poseł Dr. Kronawetter, lecz są awangardą socyalizmu.

Oni tak samo jak socjaliści, chcą wymarzony przez nich ustrój społeczny utrzymać środkami przymusowymi. Oni tak samo jak socjaliści, uderzyć muszą na istniejący porządek rzeczy i za narzędzie tej walki użyć chcą państwa.

Oni jak socjaliści, chcą działać za pomocą przymusu państwowego i pieniędzmi powszechności. Socjaliści jednak mają cel wyższy i idealniejszy, antysemita mają cele niskie i praktyczniejsze.

Kiedy tamci chcą całe społeczeństwo zreformować i uszczęśliwić, knajpowi politycy z fachu p. Luegera zadawalniają się drobną częścią reformy społecznej. Idzie o uwolnienie nieudolnych klas produktywnych od nieprzyjemnej dla nich konkurencyi zdolniejszych i pracowitszych klas.

¹⁾ Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza tom II. str. 197.

Za pomocą przymusu państwowego ma być wprowadzona organizacya cechowa, która złym majstrom ma oddać raz na zawsze przywilej partactwa i w tem uprzywilejowanem stanowisku ma go bronić przed konkurencyą postępu, maszyny, assocyacyi sił, podziału pracy i zręczności wyzyskania konjunkctury handlowej.

Jestto program najbardziej ciasny, ale i najbardziej dla klas interesowanych a egoistycznych ponętny.

I nie dziwota, że rzemieślnik wiedeński, przetłómaczywszy sobie tę teorią na praktyczne zastosowanie i zrozumiawszy, że jego głos polityczny może być ważnym czynnikiem w poprawie jego bytu ekonomicznego, wszelkimi siłami programu tego się czepił i pilnuje obecnie tych heroldów antysemityzmu, aby go jak najprędzej wykonali.

Każdemu wolno używać wszelkich środków godziwych, chociażby cele, które osiągnąć zamierza, daleko przechodziły poza obecny porządek rzeczy.

Tutaj cele może były godziwe, ale środki których się imano, były pogardy godne, ale metoda walki, którą wypowiedziano, była niegodziwa i niebezpieczna.

Że zaś metoda tej walki jest zaraźliwą, że robi ona szkółę i rozszerza się po krajach i miastach prowincjonalnych, więc rząd dbający o rozwój wszystkich warstw ludności, nie mógł tej metodzie walki przypatrywać się biernie.

Ludzie, wyszli z walki klas i żyjący walką klas, mogą być osobiście bardzo zacni, nieuprzedzonymi i sprawiedliwymi być nie mogą.

Nie mogą nawet mieć pretensyi do obiektywności potrzebnej do naczelnego kierownictwa w państwie, kraju, lub gminie.

Oto są powody, dla których demagog wiedeński nie mógł dać gwarancyi, że urząd burmistrza spełni z powagą i obiektywnością i dlatego sankcyi monarszej nie otrzymał.

Trudno zaś było przypuścić, że p. Lueger, skoro zostanie zatwierdzonym na urządzie burmistrza, tak się zmieni, że przestanie być agitatorom politycznym, a stanie się obiektywnym burmistrem.

Sam pan Lueger temu zaprzeczył w swej mowie inauguracyjnej, zapowiadając walkę nieprzyjaciołom. Więc przypuszczenie, że zmieni swój charakter, byłoby nietylko bezpodstawne, ale byłoby ubliżającym dla pana Luegera.

* * *

Dzień wczorajszy był dniem burzy.

Wszystkie prądy Izbowe podały sobie dłoń do wspólnego ataku. Więc antysemita, więc socjalni-chrześcijanie, więc narodowcy niemieccy, więc Młodoczezi i grupa malkontentów w klubie hr. Hohenwarta. Przeciw tym zwartym szeregom opozycji stanęła większość Izby złożona z lewicy niemieckiej, konserwatywnej części klubu hr. Hohenwarta i Koła Polskiego.

Dyskusya była namiętna. Co było nowem we wczorajszej dyskusyi, to udział galeryi. Naciskiem galeryi na ciała prawodawcze zawsze rozpoczynały się rewolucye.

Na dziś tego niebezpieczeństwa niema, ale jest rys znacmionujący chwilę i jest troska na jutro.

Ponad wszystko górowała mowa, którą ksiązę Alojzy Lichtenstein uderzył na hr. Badeniego.

W mowie tej, którą nazwano komedyą niedyskrecyj, ksiązę Lichtenstein z swego kołczana ciskał strzały jadowite wprost przeciw szefowi gabinetu skierowane.

Były i żądła ukryte. Dosięły one tam, gdzie były skierowane. Głównym argumentem opozycji było wskazanie, że na rozstrzygnięcie rządu wpłynęła presya Węgier. Na to jedna odpowiedź.

Węgry nie wpływały na decyzją rządu. Ale Węgry dały rządowi austriackiemu najlepszy przykład, jak należy dla uniknięcia frykcyj między obydwoma połowami Monarchii, poświęcać osobiste pretensye, skoro same poświęciły dwu najznakomitszych swych mężów stanu Weckerlego i Silagyego, skompromitowanych w agitacyach Kossuta. Węgry dla miłego spokoju poświęciły swych najlepszych i najzdolniejszych przywódców narodowych.

Czemże wobec tego jest poświęcenie p. Luegera?

Ostateczny rezultat głosowania przyniósł wczoraj zwycięstwo gabinetu hr. Badeniego.

Przyniósł coś więcej. Przyniósł bowiem wyjaśnienie sytuacji parlamentarnej. Rząd poznał swoich nieprzyjaciół i przekonał się na kim może się oprzeć.

Rozwiały się pewne złudzenia. I tak :

1. rozwiało się złudzenie, jakoby można było stworzyć większość z Czechami i rekonstruować Taaffowską prawicę.

2. rozwiało się drugie złudzenie, jakoby możliwem było utworzenie aliansu polsko-niemieckiego.

3. rozwiało się złudzenie, jakoby klub hr. Hohenwarta w składzie dzisiejszym dawał gwarancję trwałego sojusznika.

Oddawna nurtujące w klubie hr. Hohenwarta prądy wczoraj wyszły na jaw i okazało się, że frondująca garstka Ebenhocha — Morseya, jakkolwiek z klubu hr. Hohenwarta nie wystąpiła, głosuje jednak przeciw hr. Hohenwartowi.

Okazuje się zatem, że gabinet hr. Badeniego będzie się musiał oprzeć tak w tej, jak i w przyszłej Izbie na koalicji 3 stronnictw, z tą jedynie różnicą, że przeprowadzoną będzie korektura w stronnictwie hr. Hohenwarta, korektura, której przeprowadzić nie miał siły gabinet koalicyjny ks. Windischgrätza.

To są bezpośrednie korzyści wyklarowania sytuacji parlamentarnej, po burzy, która wczoraj przez Izbę przeciągnęła.



Sędziowie krakowscy.

(Obrazek z podwawelskiego grodu).

(Dokończenie.)

Napróżne też czynił zabiegi o zmianę rodzaju kary, považany w mieście piwowar Jenny, ziomek skazanego. Egzekucya odbyła się w oznaczonej porze wśród wielkiego zbiegowiska pospólstwa, podrażnionego niemało oklaskami przyjaciół Grabowskiego, odzywającymi się po każdym uderzeniu kija. Krążyła nawet w mieście pogłoska, iż hr. Henryk Żeleński dał oprawcy dwieście złotych, by silnych plag nie szczędził... W dowód szczególniejszej łaski pozwolił senat opuścić Wazonowi terytoryum rzeczypospolitej extrapocztą z własnych jego funduszów opłaconą.

Zajście owe, drobne na pozór, było pierwszą przyczyną osłabienia dotychczasowej popularności Wodzickiego, zaś autor wspomnianego już poprzednio dziełka „Krakau und ein Blick über seine Grenzen“ wyraża nie dwuznacznie przekonanie, iż uchwała senatu, skazująca Wazona, była dziełem nieprzyjaciół prezesa, którzy w ten sposób chcieli go zdepopularyzować, a nawet wierzyli w możliwość rewolucyi ulicznej z tego powodu.

Bezimienny poeta uwiecznił owe zdarzenie w następującym wierszyku:

Otóż to rzeczpospolita,
 Biję baty, ani pyta,
 Ani sądu, ani prawa,
 Prezes kazał: Zaraz ława.
 Kogo biją? Mieszczanina,
 Niech zna co pańska czupryna.
 W nim krew Kaimowska płynie,
 A nasza od przodków słylnie,
 Co tego niegdyś zdradziła,
 Którego sławi mogiła.

Stójcie pany, wolność woła
Z reprezentanckiego koła:
Nie wolno bić włościanina,
Cóż dopiero mieszczanina,
Wszyscy równi co do prawa,
Do sądu ma iść ta sprawa!
Zbiegły się wolne barany,
Radzą, by nie był karany,
Lecz gdy stróżów się przelekli,
Wszyscy przed batem uciekli.

Sprawa Wazona była niestety przygrywką do poważniejszych następstw, jakie przedstawiały tajne związki uczącej się młodzieży. Spisek Łukasieńskiego i odkrycie organizacji Towarzystwa patriotycznego w Królestwie Polskiem zwróciły w roku 1822 szczególniejszą uwagę rosyjskiej policji na Kraków. Rezydent carski, Stanisław Zarzecki, domagał się od senatu nieustannie nowych śledztw i dochodzeń przeciw osobistościom politycznie podejrzanym. Odkrycie bractwa „burszów polskich“ w sierpniu 1823 r., zażegnane chwilowo wydalaniem założyciela tej organizacji Miszewskiego, zniewoliło rząd austriacki, iż za przykładem ukazu cara Aleksandra, odwołującego młodzież polską z wszechnicy Jagiellońskiej, wydał podobne zarządzenie co do poddanych galicyjskich. Senat zatajał, o ile mógł szczegóły rozruchów szkolnych, ale Kraków roił się od szpiegów rosyjskich, których liczba wzmogła się jeszcze bardziej po roku trzydziestym, gdy gród podwawelski był jedynym przytułkiem dla rozbitków z listopadowego powstania, wydalanych tłumnie przez władze galicyjskie na terytorjum rzeczypospolitej.

Zanim wszakże przejdziemy do tej doby, obfitującej w niezwykłe wypadki kryminalistyczne, wspomnieć jeszcze wypadnie o sensacyjnym procesie Leona Chwalibogowskiego, oddanego w r. 1827 pod sąd sejmowy.

Chwalibogowski zaczął karierę na krakowskim bruku za rządów Księstwa warszawskiego, piastując przy trybunale skromną posadkę kopisty. Ruchliwy wszakże i sprytny już w roku 1818 dostał się do sejmu, czyli jak mówiono w republice — do zgromadzenia reprezentantów, a nawet wybrany został do komisji prawodawczej. Niebawem też przebiegłszy niższe stopnie hierarchii sądowniczej, zamianowany został prokuratorem, z którego to urzędu stworzył dla siebie źródło nieprawych dochodów. Mimo, iż uposażenie urzędników rzeczypospolitej było mniej niż skromne, Chwalibogowski zaczął szybko robić fortunę, zakupując dobra i realności w mieście. Skoligacony z członkami sejmu, umiał rozmaitymi sposobami

doprowadzić do tego, iż znaczną część urzędów wybieralnych posiadli jego przyjaciele i krewniacy. Z ich też pomocą broił Chwalibogowski bezkarnie przez całe dziesięciolecie i dopiero skarga niejakiego Gołkowskiego, który uwolniony dla braku dowodów winy, domagał się rewizji swego procesu, odkryła cały stek bezprawia i nadużyć, popełnianych przez prokuratora i przez jego pomocników. Nie cofali się oni przed niczem, a fałszywe świadectwa wymuszali kijami. Proces rewizyjny Gołkowskiego wywołał olbrzymie wrażenie i spowodował aresztowanie Chwalibogowskiego, który przez sąd sejmowy skazany został do robót publicznych. Równocześnie z nim usunięto z posady dyrektora policji, Antoniego Kosteckiego i złożono z urzędu czterech senatorów, oraz dwóch sędziów trybunału.

Sprawa ta przyćmiła w wysokim stopniu powagę sądownictwa krakowskiego, zwłaszcza wobec dworów opiekuńczych, którym rezydenci z przebiegu procesu nader szczegółowych dostarczyli relacyj. Jeżeli podczas reorganizacji ustroju Rzeczypospolitej, dokonywanej w roku 1833 przez mocarstwa rozbiorowe, ocalało sądownictwo krakowskie, to przypisać należy jedynie tej okoliczności, iż dla przysłanych komisarzy dziedzina wymiaru sprawiedliwości była przedmiotem obcy, lub obojętnym.

Natomiast morderstwo szpiega Pawłowskiego, dokonane w roku 1836, dało po raz pierwszy sposobność władcom austriackim do wmięszania się w sprawy sądownictwa karnego Rzeczypospolitej. Sprawa Pawłowskiego, przedstawiana w najrozmaitszy sposób we współczesnych pamiętnikach, miała według relacyi autora „Sądownictwa Rzeczypospolitej krakowskiej“ przebieg następujący: Pawłowski przybył na emigracyą do Anglii pod nazwiskiem Mańkowskiego, oficera czwartego pułku piechoty, a udając jeńca wojennego, zbiegłego z Sybiru, związał liczne stosunki znajomości między wychodźcami. Nie znalazłszy wszakże w Londynie odpowiedniego pola do działania, wrócił do Paryża, gdzie zapisawszy się do Towarzystwa Demokratycznego, zdołał do tego stopnia pozyskać zaufanie kierowników tego ciała, iż wyprawili go jako emisariusza do kraju. Zaopatrzony w odpowiednie instrukcyje i wskazówki, skorzystał z nich Pawłowski zaraz w Dreźnie, gdzie wywołał swą denuncyacyą cały szereg aresztowań i wydażeń wśród wychodźców polskich. Z Drezna przybył do Krakowa, zamieszkał u Pollera i zaprzyjaźniwszy się z majorem Boskim, totumfackim całego miasta, ucześniezał pilnie na dysputy polityczne do ogródka Aleksandrowej. Jednakowoż w Londynie wychodźcy polscy pierwsi powzięli podejrzenie co do szpiegowskiego rze-

miosła Pawłowskiego i udzielali swych wiadomości ziomkom, przebywającym we Francji. Z Wersalu puścił się też zaraz w pogoń za szpiegiem Adolf Zalewski, którego brat Leon ukrywał się w Krakowie pod nazwiskiem Marchockiego. Obaj Zalewscy wraz z Ejsmuntem ułożyli na miejscu plan działania. Ejsmunt, człowiek wytwornych manier i miły w obejściu, wziął na siebie spełnienie pierwszej części planu, mającej na celu sprawdzenie charakteru Pawłowskiego i w tym celu, porzuciwszy gościnę u Dembińskich w Połęczynie, sprowadził się do oberży „pod białym orłem“, uczęszczając przytem pilnie na obiady do Pollera. Dobre wino, dysputy polityczne i gra w bilard ułatwiły mu bliższe poznanie się z Pawłowskim, który niebawem przeniósł się pod „białego orła“, a zajmując pokój obok Ejsmunta, podsłuchiwał szpiegowskim zwyczajem, co się u sąsiada dzieje. Na podstawie tej obserwacji nabrał Pawłowski przekonania, że Ejsmunt, wydawszy gotówkę, wybiera się na patryotyczną kwestę, oraz na zjazd emisaryuszów do Rybny. W chwili przeto poufnej pogadanki, gdy Ejsmunt oświadczył mu chęć zostania z biedy agentem policyjnym, wyjawiał Pawłowski bez ogródki swe zajęcie. Obaj udali się do biura rezydenta rosyjskiego, gdzie Ejsmuntowi doręczono paszport i miesięczną pensję z góry. Następnego dnia — szóstego stycznia 1836 r. — wybrał się Pawłowski z swym towarzyszem do Rybnej, Ejsmunt poszedł wynająć konie, zaś Pawłowski wyrównał rachunek w hotelu. Wieczorem zajechały najęte sanie, które obu powiozły w kierunku Łobzowa, a na uwagę Pawłowskiego, że do Rybnej inna prowadzi droga, odpowiedział woźnica, iż w zimie jeździ się innym szlakiem. W pobliżu Bronowic spotkali jadący pieszego wędrowca, który dawszy się poznać jako spiskowiec, dążący do Rybnej, stanął na wezwanie Ejsmunta z tyłu sań. Po chwili ów nieznamy, którym był Adolf Zalewski, strzelił z krucicy w plecy Pawłowskiego, na którego uderzyli równocześnie z sztyletami Ejsmunt i przebrany za woźnicę Leon Zalewski. Trupa zrzucano, zjechawszy nieco z drogi, pod lasem Rząsieckim, gdzie go nazajutrz znaleźli jadący z Chrzanowa kupcy. Zalewscy powrócili inną drogą do Krakowa, pozostawwszy Ejsmunta w Tenczynku u rządcy tamtejszego Jana Konopki. Nazajutrz przewieziony do Spytkowic, opuścił Ejsmunt te strony, jadąc pocztą obywatelską od dworu do dworu.

Znalezione zwłoki Pawłowskiego spoczywały rozciągnięte na płaszczu, a przypuszczenie co do morderstwa, popełnionego na jego osobie dla rabunku, było już przez to samo wykluczony, że przy zwłokach znaleziono kosztowną biżuterję, którą zazwyczaj Pawłowski nosił, oraz znaczną sumę pieniędzy.

Trudno zaprzeczyć, że kara wymierzona szpiegowi była zupełnie zasłużoną, lecz sposób jej wykonania przyprawił republikę krakowską o ponowne uszczuplenie przywilejów jej niezależności. W dniu siedemnastym lutego t. r. wszedł do miasta austriacki oddział piechoty, jazdy i artylerii pod wodzą jenerała Kaufmana, który z komiczną niemal ostrożnością wybierał się na ową okupację. Jak twierdzili złośliwi, jenerał spowiadał się i sporządził testament na Podgórzu, a przekroczywszy most na Wiśle, zarządził cały szereg ostrożności, jak gdyby miał przed sobą groźnego nieprzyjaciela. Wysłał przeto naprzód silne patrole kawaleryi, które przebiegły puste, gdyby wyludnione ulice Krakowa. Za jazdą postępowała piechota, rozrzucona w tyralierkę, poprzedzając otoczone silną asekuracją działa, przy których kroczyli artylerzyści z zapalonymi lontami. Pochód ten od Wisły do rynku trwał przez kilka godzin z rzędu, poczem waleczny Kaufman zajął przemocą kwatery „pod Baranami“. Dopiero w kilka miesięcy później udało się pani Arturowej Potockiej za interwencją kanclerza księcia Metternicha wyprawić jenerała do odpowiedniejszej dla niego kwatery. Kaufman wybrał sobie na mieszkanie dom „pod zajacem“ przy rogu ulicy Wiślnej, któryto fakt nastreczył krakowskim humorystom obfitego tematu do kpin i drwinek.

Do żartów wszakże nie była to pora odpowiednia. Prócz austriackiego przybyły do Krakowa oddziały pruskiego i rosyjskiego wojska. Nastąpiły tłumne wydalania wychodźców na Podgórz, skąd jednych wysłano do Królestwa Polskiego, innych do Francji i Ameryki przez Tryest. Usunięto z godności prezesa senatu pocziwego Kaspra Wielogłowskiego, którego miejsce zajął Haller. Ograniczono władzę senatu, czyniąc wybór wszystkich urzędników zależnym od potwierdzenia rezydentów, zaś policję utworzono z różnych mandataryuszów austriackich, na których czele postawiono Franciszka Gutha, dotychczasowego komisarza policji w Podgórzu. Guth, którego bezimienny autor „Kroniki czterdziestu dni Krakowa“ nazwał postrzelencem bez sensu i charakteru, wyposażony nadzwyczajną władzą, wdarł się w atrybucję sądów karzących. Palając chęcią zjednania sobie pochwał ze strony rządów opiekuńczych za swą gorliwość w służbie, tropił Guth nieustannie urojone spiski, do których niebaczną młodzież dostarczała mu pozorów, tworząc kółka, schodzące się w pewnych odstępach czasu na wspólną lekturę i rozmowę. Guth zarządził tłumne aresztowania nieletnich spiskowców, których nocami porywano z mieszkań i odwożono do zaimprovizowanych więzień u Bernardynów na Stradomiu i u Paulinów na Skałce, ozdobionych kosztami drewnianymi

u okien na wzór kryminałów galicyjskich. Głośną była przegrada Gutha, który chcąc wywołać rozmyślnie rozruch uliczny, dał jednemu ze studentów dwadzieścia złotych wraz z poleceniem, by podmówiwszy swych rówieśników, uderzył wraz z nimi o oznaczonej porze na budynek policyjny. Lecz przekupiony zwołał kolegów do cukierni, gdzie przejedli i przepili judaszowe srebrniki. Rezydenci atoli dworów opiekuńczych przerażeni sążnistymi raportami Gutha o podziemnej robocie spiskowej, wywarli przy tej sposobności nadzwyczajną presyę na sędziów, którzy w pierwszej i w drugiej instancyi skazali spotną młodzież. Uwolnił obwinionych sąd kryminalny zjazdowy, ale członkowie tego sądu: Eustachy Ekielski, Andrzej Kalinka i Józef Krzyżanowski przepłacili utratą posad niezależność swego zdania.

Guth został uwieczniony w odzie skreślonej na wieść o zamachu dokonany przeciw jego osobie w Przemyślu. Autorem owej ody miał być podobno Hilary Meciszewski, głośny później publicysta i dramaturg, redaktor wydawanego we Lwowie w roku 1848 organu zachowawczego p. t. *Polska*. Oto jak sławił Meciszewski zasługi Gutha w Krakowie:

Już nie żyje, zabity, Guth słodki, Guth grzeczny,
 Guth co szczęściu Krakowa poświęcił się cały,
 Co w swej ku temu miastu miłości statecznej,
 Najczystsze, policyjne, niósł mu w hołd zapaly;
 Guth dyplomata, co pięknie po francusku gadał,
 Guth ksiądz nowy, co batem i głodem spowiadał,
 Guth uczony, co dzieciom dbały o ich głowę
 U Bernardynów szkoły pootwierał nowe;
 Prawodawca, co ludzkie chcąc poprawić plemię
 W ustawie policyjnej, której był autorem
 I która późnym wiekom będzie ad hoc wzorem,
 Umieścił niezrównany rozdział o Zmimie,
 Guth wybawca, co Kraków po niemałym znoju
 Oswobodził nareszcie z Jakobinów roju,
 Co tyle spisków wykrył, towarzystw wysledził,
 Co się z buntownikami w dzień i w nocy biedził,
 Byle tylko ten Kraków wolny i swobodny,
 Mógł zasypiać spokojnie, mniejsza chociaż głodny.
 Ten Guth, co na cześć jego bito metal z cyny,
 Co austriackie u nas potroił wawrzyny
 I co za te zasługi miał właśnie przy dworze
 Zostać lub szambelanem, lub czem więcej może,
 Ten sam nasz urządzić Guth niezapomniany,
 Już nieborak nie żyje, już zamordowauy!

Niemniej złośliwie opisał Meciszewski w dalszym ciągu swej ody dawniejszą karierę urzędową Gutha:

Bohater nasz szczęśliwy przy potężnych plecach,
 Doszedł naprzód zaszczytu, choć jeszcze tak młody,
 Że w zimie w cyrkularnych palii Niemców piecach
 I urzędową miotłą sam zamiatał schody,
 Jak się potem wyuczył czytać abecadła,
 Jak go urzędowania raz chętka napadła,
 Jak temperował pióra samemu staroście,
 Jak przy jego protekcyi właśnie jak po moście
 Został naprzód skromniutkim koncepspraktykantem
 Potem supernumerem — landkreisaukultantem,
 Nareszcie kancelistą i to aktualnym,
 Jak potem, gdy pomiędzy hałastrą kolegów.
 Odznaczył się talentem tajemnych przespiegów,
 Zrobiono go adjunktem magistratualnym;
 Jak wreszcie, gdy w trzydziestym, ile pomnę, roku,
 Zanosilo się jawnie w Królestwie na burzę,
 Jego czujnej opiece i bacznemu oku,
 Oddano miasto wolne, handlowe Podgórze.

Opiewany rymami przez przyszłego redaktora Polski dyrektor krakowskiej policji krwawo w całym tego pojęcia znaczeniu zapisał się w pamięci tamtejszej młodzieży. Znanym był w całym mieście fakt oburzającego okrucieństwa z jego strony, gdy podejrzanemu o zamordowanie szpiega Cielaka uczniowi Antoniemu Lewickiemu, w ciągu jednej nocy kazał wyliczyć czterysta różg dla wydobycia z niego potrzebnych do śledztwa zeznań. Nie dość jednak na tem. Oto w toku indagacyi obwinionych o współudział w tajnej organizacyi uczniów nie wahał się przemyślny Guth fałszować protokółów, spisowanych z uwięzioną młodzieżą. A czynił to w sposób tak bezczelny, iż w końcu nawet członkowie sądu zjazdowego, złożonego przez dwory opiekuńcze, uznali za stosowne zwrócić uwagę władz austriackich na postępowanie Gutha, który miasto spodziewanych nagród przeniesionym został na stanowisko komisarza do Przemyśla.

Zręczniejszym od niego był sprowadzony umyślnie z Sambora Ignacy Zajączkowski, który miał reputacyę najsprytniejszego inkwizytora w sprawach politycznych. Samowolność Zajączkowskiego zakwitła zwłaszcza w całej pełni podczas kadencyi sądu zjazdowego, któremu przewodniczył radca apelacyjny Herold ze Lwowa. Herold, człek dobroduszny, nie grzeszył wcale energią, przysłany z Prus asesor Sulce nie rozumiał ani jednego

słowa po polsku, podobnie jak przybyły z Warszawy sędzia apelacyjny Brzeziński nie władał wcale językiem niemieckim. Główny przeto kierunek procesów politycznych spoczął w rękach Zajączkowskiego, który rozłakomiony na podwójne diety, przewlekał sprawy bez końca, wymyślając najbardziej fantastyczne spiski i knowania. Relacyami swemi umiał tak dalece zaintrygować władze galicyjskie, iż polecono mu pozostać i po skończonej kadencji sądowej w Krakowie, skąd alarmował bezustannie sąd apelacyjny lwowski, domagając się uzupełniania, lub też wznawiania rozmaitych śledztw politycznych. I Zajączkowskiego nie minęła, jak wiadomo, zasłużona kara, gdyż padł w dniu piątym listopada 1847 roku od kuli skrytobójczej na krakowskich plantach.

Od ponurych tych widoków odwróćmy oczy ku humorystycznym epizodom z dziejów karzącej władzy w Krakowie. Dostarczała pod tym względem sporo materiału miejscowym dowiecpieniom — cenzura. Wprawdzie artykuł końcowy konstytucyi z 1818 roku, zastrzegał wyraźnie wolność druku w republice, lecz czynił rzeczzone postanowienie zależnem od uchwalenia kodeksu kryminalnego. Ponieważ atoli do końca bytu rzeczypospolitej komisya prawnicza nie zdobyła się na odrębną ustawę karną, przeto obok kodeksu karnego, austriackiego, istniała też przez całe trzydziestolecie cenzura, okaz zaiste niezwykły w republice. Cenzorem przez długie lata był Konstanty Majeranowski, redaktor „P s z e z ó ł k i K r a k o w s k i e j“, oraz autor sceniczny, nader płodny. O ile jednak sam w swych utworach opracowywał przeważnie temata patriotyczne — acz w sposób wielce wstrzemięźliwy — o tyle był surowym dla innych kolegów po piórze. O nim to wyraził się Meciszewski w swej odzie:

Kostuś Cenzor, bardzo przyjemny mężczyzna,
Co z mowy naszej zmazał to słowo: Ojczyzna,
Który twierdzi, że pisać po polsku to zbrodnia . . .

W innej znów okoliczności owej poezyi nazwano krakowskiego cenzora „majerankiem, kiełbas kochankiem“ . . . Ale i same postanowienia cenzuralne, obowiązujące w republice, grzeszyły trudną do pojęcia niekonsekwencyą i sprzecznościami. I tak: księgarz otrzymawszy transport książek i druków otwierać mógł takowy jeno w obecności cenzora, a dopiero za jego aprobatą książka mogła się ukazać w handlu. Tożsamo wszystkie miejscowe druki i sztuki, wystawiane na scenie podlegały kontroli cenzora, który w każdej chwili na zasadzie otrzymanej denuncyacyi mógł zarządzić rewizyę księgarni. Wyjątek pod

tym względem stanowiły jedynie książki i gazety, sprowadzane za pośrednictwem kantoru poczty pruskiej, istniejącego w Krakowie. Pakietów tą drogą sprowadzanych nie miał prawa cenzor otwierać. Kto więc chciał, mógł za pośrednictwem Prusaków otrzymać każde dzieło, nawet zabronione w Prusiech, gdyż przesyłki księgarskie, wysłane z Anglii, Francji, Hanoweru, oraz z innych prowincji niemieckich wędrowały transito i nie otwierane na miejsce przeznaczenia.

Gorliwość cenzury w traktowaniu dzieł scenicznych zakrawała niekiedy na śmieszność. Gdy pewnego razu goszcząca w Krakowie trupa niemiecka Burghausera, zapowiedziała przedstawienie szyllerowskiego „Wilhelma Tellera“, cenzor zgodził się zrazu na reprezentację tego utworu. Przed przedstawieniem wszakże rozmyślił się inaczej i wykreślił z egzemplarza wszystkie ustępy, w których znajdowały się słowa: Vaterland i Freiheit! W trzy dni później tensam cenzor z błogim na twarzy uśmiechem przysłuchiwał się marsyliance, użytej jako przygrywka do popularnego wówczas wodewilu p. t. „Tambor Rataplan“...

Stanisław Peplowski.



Nowożytny dramat hiszpański.

Kiedy we wszystkich krajach Europy, z wyjątkiem jednej Anglii, sztuka dramatyczna nie przekroczyła miary nieudolnych jasełek, religijnych misteryj i płytkich fars ludowych, w Hiszpanii, żyjącej wspomnieniami kultury starogreckiej i dzieł Eurypidesa zjawiają się już w XVI. w. Lope de la Vega, Tirso de Molina, Juan Alarcon, którzy całą Europę zmuszają do podziwu i naśladownictwa. Dopiero po Calderonie de la Barca i jego uczniach Rojas, Moreto, Cubillo de Aragon rozpoczyna się zanik szlacheckiego zapалу dla sztuk pięknych; zewnętrzne wojny, wewnętrzne zamieszki i waśnie religijne sparaliżowały siły twórcze narodu, z Hiszpanii, której dzieje były wspaniałym rapsodem walk bohaterskich, uleciał geniusz pokoju i sztuki, a natomiast zawisł nad nią demon zamętu i zniszczenia.

Na początku też tego stulecia teatr hiszpański był w stanie poniżenia i — zdawało się — beznadziejnego upadku. Rycerska brawura narodu spuściła znacznie z tonu, stygł patryotyzm, nikło poczucie narodowej godności; poeci, ci bezwiedni przedstawiciele swojej epoki i jej ludzi, nie wiedzieli, gdzie szukać natchnień, jak przykuć do siebie uwagę widza.

Kiedy publiczność popada w stan duchowego zmęczenia i nudy, kiedy aktor straci konieczne warunki swego rozwoju, dramaturg próżno kusić się będzie o stworzenie dzieła trwałej wartości. To też dramat historyczny z owego czasu próżno silił się, by narodowi znękanemu niedolą chwili obecnej piękniejszą światy odsłonić w jego przeszłości.

Utworky Fernandesa y Gonzales, Zarate, Zorilli pozostaną na zawsze nieudolnymi próbkami, nie lepszym był też i dramat socyalny, którego przedstawicielami byli Tomayo, Hartado i Nunez de Arce.

Dopiero w XIX w. pojawił się mąż, co orlim wzrokiem objął sytuacją chwili, pojął, że zmieniły się potrzeby Hiszpanii, że innych trzeba szukać dróg do nowych idealów.

Widział on i rozumiał, że każdy kraj innych stwarza ludzi, inne ma potrzeby, w innych się rozwija warunkach bytu, że nowoczesny, realistyczny dramat, jaki święcił już swe tryumfy na wszystkich scenach Francji i Norwegii, musi też być i w Hiszpanii w nowe szaty odziany. Kiedy przedstawiono jego pierwszą jednoaktową komedią „El libro batonario“ (18. lutego 1874) w Madrycie, José Echegaray liczył już z górą lat 42. Świata dotychczas nie był zgoła znany jako poeta, tylko jako matematyk i bystry myśliciel, który już od lat wielu jako profesor z wielkim pożytkiem pracował w madryckiej szkole Escuela de Caminos.

Wszyscy jego biografowie utrzymują, że José Echegaray urodził się w Madrycie we wielki czwartek 1832; w trzecim roku życia przeniósł się z rodzicami do Murcji, gdzie ojciec jego był profesorem literatury greckiej w jednym z pierwszorzędných instytucjów. Młody chłopczyzna znalazł tu wszystkie warunki do swego duchowego rozwoju; greczyzny uczył go jego ojciec, ze światem rzymskim zaznajamiał Soriano, z przyrodą Angel Girad.

Przy wielkim talencie i olbrzymiej pilności zdobywał dla siebie zawsze palmę pierwszeństwa między rówieśnikami; szczególnie pociągały go do siebie nauki ścisłe, teatrem i literaturą zajmował się tylko tyle, ile mógł ją poznać z namiętnie czytanych romansów.

W piętnastym roku życia jako studiosus philosophiae rozpoczął nauki uniwersyteckie w szkole Escuela de Caminos. Matematyka była dlań zawsze ulubianym przedmiotem, który przy pomocy światłego profesora Dra Angel Riquelme zdołał na tyle opanować, że przez lat wiele był jego następcą w profesurze.

Obok poważnej nauki zajmował się wszakże Echegaray także i literaturą, odwiedzał często teatr i w tym właśnie czasie dojrzewały w nim one głębokie refleksje filozoficzne, które stanowią charakterystyczne piętno jego dramatów.

Opuszczając Madryt po swej promocyi, był au courant całej nowszej literatury, przeczytał sporo romansów francuskich, angielskich i włoskich, nigdy wszakże nie przeszło mu przez myśl, jakoby był w stanie napisać sam choćby jeden wierszyk. Los rzucił go do Grenady, Almeryi i Palencyi, wreszcie osiadł na stałe w Madrycie, gdzie z uznaniem całego świata naukowego wykładał Calculo infinitesimal, Mecanica racional, Mecanica aplicada, Hidraulica. Wczytywał się przytem pilnie w ekonomią i filozofią, miewał na giełdzie odczyty polemiczne, w Ateneo był zapalonym rzecznikiem dobrze pjętej demokracji, wreszcie w towarzystwie literackiem istniejącem pod nazwiskiem: Sociedad de Economia politica zbierał wiecznie oklaski jako mówca wyczerpujący każdą z kwestyj, obchodzących ogół.

Mimo tylu rozmaitych zajęć i tak żywego udziału w życiu publicznem i towarzyskiem, Echegaray z benedyktyńską iście pracowitością starał się o pokazanie światu dobytku swej wiedzy przez wydanie *Tratado de Termodinamica*, *La Teoria de las determinantes*, *Problemas de Geometria y de Analitica* i całego szeregu artykułów, umieszczanych w *Revista de Obras Publicas*. Szczególny zbieg okoliczności nakłonił go do próbowania swych sił w dramacie.

W r. 1864 jego brat Miquel, który podówczas był zaledwie podrostkiem, napisał wcale udatny wierszyk: *Cara o cruz*.

José powiedział sobie na to, że jeżeli podrostek potrafił napisać wierszyk wdzięczny, widocznie poezya nie jest jakimś osobnym darem muz, ale prostym produktem znajomości gramatyki, nieco bujniejszej wyobraźni i słuchu muzykalnego. Z tej zasady wychodząc. jął się żywo do pracy, obmyślił intrygę pełną krwawych zawikłań i tak powstał jego pierwszy dramat, liczący z górą 4000 wierszy. Znajomi Echegaray'a wrzuszali na tę pracę ramionami, jemu wydała się ona jednak arcydziełem i zaraz jednym niejako tchem napisał trzeci trzechaktowy dramat „*El prologo ed un drama*“, który później po dodaniu doń epilogu wystawiono na scenie madryckiej pod tytułem „*La ultima noche*“.

Niebawem nastąpił w życiu uczonego poety stanowczy zwrot. Rewolucya r. 1868 wciągnęła go w politykę, dała mu wprawdzie wybitne stanowisko, ale za to na długie lata odsunęła od poezyi i pracy literackiej.

Jedna świetna, epokowa mowa w parlamencie przyniosła mu tekę ministra.

Dopiero w roku 1873 po rozwiązaniu *Comision permanente* stanów koronnych był w możności jąć się pióra, aby już go nigdy potem więcej nie odkładać.

W wytwornym świecie hiszpańskim, w którym znano go jako uczonego i polityka, na tę przemianę uśmiechano się zrazu ironicznie; kiedy jednak Echegaray przy pewnej poważnej sposobności popisał się jako zawołany fechtmistrz, kiedy innym znów razem rozwinął przed zdumionymi słuchaczami głęboką znajomość filologii niemieckiej, poczęto w tym człowieku odkrywać coś niepośledniego.

W kilka lat potem Echegaray wprawił w zdumienie całą Hiszpanią. Talent i twórczość Echegarya jest niby siłą składową olbrzymich zdolności i niesłychanego zasobu wiedzy.

Po dokładnem badaniu jego dramatów, tak różnorodnych w treści i przeprowadzeniu, dochodzimy do przekonania, że talent Echegaraya był potężniejszym niż on sam, że mimo jego woli

prowadził go często na drogi, które sam byłby rad pominąć. W każdym razie jednak starał się odpowiedzieć potrzebom publiczności, badał jej smak, upodobania i rządzące nią idee. Nim stworzył nową szkołę, szeregiem udatnych dramatów potrafił zjednać sobie całą Hiszpanią przez sympatyczny wdzięk nienagannych wierszy i siłę w skreślaniu indywidualnych typów. Echegaray rozumiał wszakże rychło, że minęły czasy lirycznych dramatów; wyniki nauk przyrodzonych, postęp przemysłu i coraz to więcej wzmagający się egoizm stworzyły inne czasy, innych ludzi z wszystkimi ich pragnieniami i z całą treścią duchową.

Być może, że w czasie swego pobytu we Francji jaśniej zrozumiał niejedną prawdę życia, że niemało przyczyniło się do wywołania w nim duchowego przełomu, zaznajomienie się z dramatem francuskim. Przejmując dobre pierwiastki z literatury obcej, Echegaray ustrzegł się wszakże od niewolniczego jej naśladowstwa, zachował indywidualność i rozwijał się, jak każdy umysł twórczy przez snucie myśli z kłęбка własnych swych refleksyj i przekonani.

Między pierwszym jego dramatem „El libro talonario“, tak niedostatecznym pod względem formy, z tematem starym, rzecz można banalnym, z tytułu usterkami wlokącej się akcji, a między arcydziełem: „O Locura o Santidad“ („Szaleństwo czy świętość“) leży przepaść, którą przesadzić mógł tylko geniusz.

Treść, czyli — jak to mówią pospolicie — fabuła dramatu bynajmniej nie jest oryginalną.

Carlos, który ongi szczerze kochał swą żonę, zakochuje się na zabój w damie z towarzystwa. Tymczasem jego żona Marya nie myśli się zrzec miłości męża, choć oddawna uwielbiający ją kuzyn silną byłby dla niej pokusą. Kobieta czystego serca, przywiązana całą duszą do męża, dostaje w swe ręce jego list pisany do kochanki, żeby w oczy mu rzucić dowód wiarołomstwa. Z finezyą kochającej kobiety obmyśla manewr, który ma jej znów przywrócić męża. Na czystej stronicy listu pisze do kuzyna, wtajemniczonego w spisek, ogniste wyznania miłosne, wrzekomy ich tajemny stosunek zdradza przed panem domu sługa zjednany dla intrygi. Po scenach gniewu i oburzenia męża, który znalazł ów list na sercu śpiącej żony, następują gwałtowne wybuchy żalu Maryi, wreszcie wszystko się kończy przejełnaniem się małżeństwa.

Akcya prosta, tocząca się tylko między czterema osobami. z natury rzeczy musiała wypaść monotonna i tylko piękność ostatniego aktu ratuje sztukę. Hyperliryczne skargi Maryi „wobec morza“, słońca, lazuru nieba tracą zbytym sentymentalizmem, bo odpowiedniejszymi na tem miejscu byłyby wyrazy bezpretensjonalnego oburzenia. Za to znów przy innej sposobności, gdzie komizm

sytuacji wymagał lekkiego traktowania rzeczy, poeta z prawdziwie królewską rozrzutnością rzuca zdaniami potężnymi, aforyzmami, w każdym wyrazie kryjącymi bezmiar tragizmu.

Krytycy i wielbiciele Echegaray'a utrzymują, że poeta pisał tak z rozważą i naumyślnie, aby zwołna przygotować publiczność do zwrotu realistycznego, jaki niebawem miał w jego dziełach nastąpić. Zdaniem naszym wszelako w pierwszych jego dramatach obok siły, znamionującej zawsze geniusza, czuć wady i usterki nowicyusza w zawodzie dramaturga, które tylko lata spędzone przy warsztacie żmudnej pisarskiej pracy usunąć były w stanie.

Trzy następne dramata „La esposa del vengador“ (Żona mściciela) „La ultima noche“ i „El puno de la spada“ (Rękojeść sztyletu) należą stanowczo do starej romantycznej szkoły i wzięcie swe zawdzięczają jedynie dziwnej sile dramatycznej epizodów. Całość zazwyczaj w nich chromieje, a daremno byś w nich szukał „prawdy życia“.

Znany krytyk Manuel de la Revilla dobrze charakteryzuje dramat „La esposa del vengador“, nazywając go dziełem nawskróś romantycznym, wzruszającym duszą widza przez tę ciągłą zmianę boleści i rozkoszy, walki namiętności i interesów, wypowiedanej językiem pełnym cudownej piękności i rytmu.

Sąd taki o poecie Hiszpana zrozumiałym jest w ustach Hiszpana. My dodać musimy, że Echegaray w tych trzech dramatach nie wznosił się jeszcze na wyżyny, któreby uprawniały nas do takich hołdów i uwielbień. Z wyżyn liryzmu myśli, popada często w niesmaczny patos, każe bohaterom dramatu mówić o rzeczach, nie licujących ani z ich charakterem, ani z sytuacją i w tem właśnie leży główna jego wada — niejednorodność w akcji i rozstrzelanie w jej przeprowadzaniu.

Do nowszej szkoły zbliża się już więcej: „La ultima noche“, o której Garcia Cadena powiedział słusznie: W tej sztuce dopiero znać prawdziwie ludzkie poruszenia duszy, tu dopiero duch poety uderzył w tajemne struny serca ludzkiego, tu umiał odtworzyć groźne widmo namiętności. Dramat ten jest zarazem niedorzecznym i wspaniałym, to produkt gorącej, namiętnej, niespokojnej wyobraźni, czuć w nim potęgę poety, któremu brakło wszakże spokoju, by szukać tonów, wiążących się w potężne, a jednak czyste współdźwięki.

W następnych dramatach „Como empieza y como acaba“ (Jak się poczyną, tak się i kończy) i „Lo que no puede decirse“ (To, czego nie można wypowiedzieć) zbliżył się jeszcze więcej do tych wielkich idei, które są duszą jego arcydzieła: „O locura Santidad“. W pierwszym z nich „Como empieza y como acaba“ poeta skreśla postać bohaterki Małgorzaty, kobiety delikatnego

uczucia i sumienia, zbliżoną wielce duchem do uczonego Lorenzo (O locura o santidad), który ze zgonem własną i swej rodziny szuka drogi prawdy i słuszności.

Kiedy w r. 1877 wystawiono po raz pierwszy ten dramat w Teatro Espanol, publiczność nie posiadała się z entuzjazmu i uwielbienia. Chwila zresztą była po temu wielce sposobna. Wojna w r. 1868 stworzyła nowych ludzi z szerszym poglądem na rzeczy i delikatniejszym uczuciem; poczęto szanować prawa indywidualne, szanować osobistość jednostek.

Echegaray odpowiadając potrzebom chwili, napisał ten dramat prozą, przyswajając formę, w jakiej ludzie mówią i myślą, jaka zresztą najodpowiedniejszą jest w dramacie socyalnym, którego treść wyrasta, z uczuć i zapatrywań osób występujących. Posłużyło mu w tworzeniu tego dramatu także i jego wykształcenie matematyczne i refleksya uczonego przywykła do mierzenia, rozważania i badania wszystkiego, tak, że Echegaray z góry mógł obliczyć niejako szczerym rachunkiem, do jakich katastrof mogą doprowadzić wewnętrzne walki bohatera.

W pierwszym akcie poeta kreśli przed nami obraz szczęśliwej nad wyraz rodziny.

Don Lorenzo de Avendano jest mędrcom, niewinnym jak nowonarodzone dziecko, zatopiony w roztrząsaniu najwyższych zagadnień życia, uważa prawdę za najwyższą normę wszelkiego prawa i słuszności.

Jego żona Inés, córka obojga Helena, lekarz i przyjaciel domu Dr. Thomas — oto wszystkie osobistości dramatu. Helena odziedziczyła charakter ojca, żyje z raną w sercu: pokochała głębokiem uczuciem Edwarda, syna księżnej Almonte.

Księżna, dumna pani z wielkiego świata, dotychczas nie zezwoliła na ich związek. Helena cierpi bezmiernie, lekarz wyraża się z obawą o wątek jej zdrowiu, Lorenzo ustępując prośbom żony, postanawia wreszcie iść do księżnej i prosić o pozwolenie na związek dwojga kochających się dusz.

Dumnemu Lorenzowi, pochodzącemu także z bogatej i szanowanej rodziny nie przychodziło to łatwo. Scena, w której toczy się w nim walka między głęboką miłością ojcowską a szlachetną dumą, a raczej słusznem ceniem osobistej godności, należy do najpiękniejszych ustępów sztuki.

Poważnym i głębokim wywodom, dla których Lorenzo wzbrania się upokorzyć przed księżną, Inés i lekarz przeciwstawiają rozstrój nerwowy, uprzedzenia i smutną spuściznę po długoletniej grzebaninie w książkach — dziwactwo.

Postanowienie ma już dojrzeć w czyn, kiedy umierająca piastunka Lorenza przyzywa go do siebie dla powierzenia mu ja-

kiejs wielkiej tajemnicy. Z ust konającej dowiaduje się, że całe jego życie było kłamstwem, że ta umierająca kobieta, która dla kradzieży siedziała ongi w więzieniu, jest jego matką własną. Dla szczęścia swej dzieciny zrzekła się jej na zawsze, oddając ją we własność swych bezdzietnych panów.

Człowiek, który każdy krok swój w życiu mierzył tylko prawdą, dowiaduje się, że całe jego życie było jedną tkaniną kłamstwa. Kłamstwo — ach, on tak serdeczny czuł przed nim wstręt i odrazę.

Lorenzo jest moralnie zabity, radby nie wierzyć zeznaniom umierającej, jeden list podany mu kostniejącą ręką przekonuje go ostatecznie o prawdzie. Tymczasem w toku zwierzeń dzieje się rzecz dawniej tak upragniona, a teraz tak straszna. Księżna wzruszona miłością swego syna, przychodzi sama prosić dlań o rękę Heleny. Lorenzo stacza z sobą okropną walkę duchową i wychodzi z nieugiętym postanowieniem iść za głosem prawdy. Musi odepchnąć podaną do zgody rękę księżny, musi uczynić na zawsze nie-szczęśliwym własne swe dziecko — musi. Inés, matka Heleny, jest zrozpaczoną i przekonuje umierającą starą piastunkę Lorenza, że należy dla jego szczęścia zaprzeć się samej siebie i zniszczyć dowody prawdy.

Księżna poruszona do głębi trwałą miłością młodej pary, odwiedza Helenę w jej chorobie i przyobiecuje nie cofać swego przyzwolenia na jej związek, byleby pochodzenie Lorenza pozostało tajemnicą rodzinną. Przeciwnie on nastaje na ogłoszenie prawdy, on musi zwrócić prawym spadkobiercom, musi usunąć się w zacisze ze swą żoną i córką — musi.

Własna żona i doktor Thomas ogłaszają go obłąkanym, przyzwijają dyrektora zakładu chorych umysłowo, który zjawia się w towarzystwie dwóch posługaczy szpitalnych.

Jego twierdzenia nazywają wszyscy — szaleństwem.

Lorenzo ostatniego dowodu prawdy szuka w liście, kiedy jednak w kopercie nie znaleziono nic prócz kartki niezapisanego papieru, wzmogło się przekonanie wszystkich o jego obłądnie i mimo nadludzkiej obrony dostaje się Lorenzo w ręce zbirów szpitalnych. Żona i przyjaciel pozwalają na to, jedna tylko Helena innego jest zdania. Intuicyą szczerze kochającej córki odgadła prawdę i z jękiem rzuca się w objęcia ojca uznanego za obłąkanego. Odrywają ją przemocą od niego i — zasłona spada.

To są zarysy jednego z najgłębszych nowożytnych dramatów psychologicznych. Scena tu wiąże się ściśle ze sceną, jak wnioski w dobrze przeprowadzonym rozumowaniu, charaktery skopiowane wiernie, język czarownie piękny, uderzający wszystkie struny duszy wyrażeniami dziwnej siły i jędrności. Duch Lorenza błąkającego

się w śmiałych pytaniach o rozwiązanie wszystkich najwyższych zagadnień życia przedstawiony jest z psychologicznem zrozumieniem, nieskończenie czułą i głęboką jest jego miłość do córki, wplatająca go w prawdziwe koło Iksyona duchowych męczarni.

Szczególnie pięknymi są monologi Lorenza, dążącego do bezwzględnej doskonałości moralnej, którego właśnie ta dążność wobec złości i kłamstwa świata gubi i niszczy. Jedynym błędem sztuki i ta słaba strona pojawia się we wszystkich pracach Echegary'a jest to, że myśli zbyt tu tłoczą i cisną, ujemnie wpływając na jasny tok akcji.

Zjawienie się piastunki Lorenza, która szczęśliwą dotąd rodzinę miała wtrącić w piekło rozpacz i zwątpienia, jest tak mało uzasadnionem, a raczej przygotowanem, że widz, współczując, cierpi z ofiarami niezasłużonego nieszczęścia i nie uspokaja się, póki z końcem ostatniego aktu spadająca kurtyna nie usunie z jego oczu Lorenza, porywanego przez posługaczy szpitalnych. Ten epilog dziwny, niemal barbarzyński w swej srogości był przyczyną, że sztuka nie doczekała się jeszcze tłumaczenia na obcy język. W ojczyźnie poety jedni sławili ją pod niebiosy, drudzy nazywali wprost zlepkim szaleństwem rozwydrzonej wyobraźni, inni znów upatrując wszędy polityczne aluzye, rozbierali, sztukę skalpelem anatomów tak, że przytem straciła to, co było w niej najpiękniejszym.

Z innych dramatów poety, z których 3 - 4 rocznie pisywał wierszem („Para tal culpa, tal pena“ — Jaka wina, taka i kara — „En el seno de la muerte“ — Na łonie śmierci — „Mar si orillas“ — Morze bez brzegów — podnosimy szczególnie trzech-aktowy dramat „Algunas ocesas aqui“ — Czasami już i tutaj). Sztuka jest pisana prozą, treść jej jest ogólnoludzkiem, socyalnym problemem, że wielkie winy już tutaj na ziemi spotkać się muszą z zasłużoną karą. Akcja cała mimo wszystkich zawikłań i długiego ważenia się między miłością a winą, kończy się usprawiedliwieniem winnych ku zadowoleniu widza.

Znamienitym jest również dramat „El gran Galateo“, tłumaczony na język niemiecki przez Pawła Liudau. Ma on tę wyższość nad sztuką „O locura o Santidad“, że przebieg akcji jest normowany więcej prawidłami sztuki, a epilog więcej — że tak powiem — znośny i ludzki.

Twórczość poety jest zadziwiająca, bo nie minie żaden sezon w Madrycie, w którymby przynajmniej jednej jego sztuki nie wystawiono.

Problem i akcja zajmują publiczność więcej lub mniej, ale premiera pozostaje zawsze wielkiem zdarzeniem. Sztuki jak: „Mariana“, „Un critico incipiente“ — Początkujący krytyk — „El poder de la impotencia“ — Potęga niemożności — „La nina mi-

mada“ — Rozpieszczona dziewczyna — pozostaną na zawsze cennym nabytkiem repertuaru. Socyalne zagadnienia, które Eche-
garay rozberra w swoich rozmaitych dramatach i komedyach,
świadczą o jego znajomości ludzi i charakterów, doświadczeniu
i sile postaciowania, przypominającej Shakespearę'a nawet w tej
rubaszności, która znamionuje początkowe jego dzieła.

Krytyka mianowicie francuska niesłusznie zarzuca mu, że
jego gwałtowne, osobiste usposobienie prowadzi Eche-
garay'a do zbyt namiętnego tonu wyrażen i dzikiego zawikłania myśli. Dzi-
wiono się nieraz i pytano, dlaczego poeta dyalogi swych utworów
pisał wierszem. Z jednej strony ma to swą przyczynę w dźwięku
hiszpańskiego języka, nie zmieniającego się wielce w szacie po-
etycznej, z drugiej zaś w niesłychanej łatwości, z jaką Eche-
garay pisze mową wiążaną. Jego wiersze posiadają pełnię dźwięku i ry-
tmu, siłę i rytm zmuszający do podziwu. Dodać jednak potrzeba,
że Eche-
garay, ilekroć zabiera się do dramatu psychicznego, pisze
zawsze jędrną prozą, w której ludzie kochają i cierpią, nienawidzą
się i przejednują.

Karol Wróblewski.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

„O myśli moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakłęła na zawsze w swe koło . . .

Ujejski.

Suplikacye.

Niewielki, w ubożuchnej swojej prostocie schludny i wdzięczny kościółek, jedyny w mieście, gdzie ludność katolicka jest tylko bardzo nieznaczną mniejszością. W ławkach, dwoma rzędami ustawionych, z popod fantastycznie wyginanych, modnych zapewne kapeluszy, widnieją twarze kobiece, na które powaga miejsca i uroczystość chwili kładą wyraz spokojnej zadumy i nadziemskich wzlotów ducha, lub też znudzenia i przymusu.

Całą przestrzeń pomiędzy ławkami, zarówno jak i obie nawy boczne, zapełniają pobożni, wśród których najwięcej żołnierzy. Różnej są barwy, broni i różnych pułków, lecz wszystko Mazury rzetelne, lub od Kielec, Łęczycy, Częstochowy parobczaki co najprzedniejsze. A wszyscy też, co do jednego, „katoliki śczyre“; na książce pobożnie się modlą, „Msy Swiantej“ słuchają przykładnie i na odgłos dzwonka padają na kolana z takąż samą automatyczną sprawnością, z jaką zapewne na komendę „rotnego“ podawać muszą „prawe ramię naprzód“ lub „na lewo w tył“ zwrot czynią. Wszyscy pod jedną miarę ostrzyżone mają włosy, wszyscy jednakowo wyglansowanym paskiem ściągnięci, lecz jednym wyziera z oczu światło rozbudzonej już myśli, u drugich nie wyczytasz nic prócz smętnego załęknięcia i niezeznannej, na samym dniu serca głucho nurtującej tęsknoty. I nie dziw! Tak obce im tu wszystko, tak cudze! Język, pieśń, pożywienie, mieszkanie, tutejszych ludzi twarze, codziennej pracy powinność — wszystko inne zupełnie, w niczem niepodobne do tego, na co państwo od dziecka przywykli . . .

Hej! hej! gdzie to chata bielona, z obrazkiem Częstochowskiej i wiankami ziół święconych na ścianie? gdzie ojcow-

skiej roli zagon i zielona ta łąka, po której miarowym prze-
latują ruchem srebrzyste kos błyskawice, gdzie jasne brzozy,
przez których listowie sieje słońce złotym, po murawie skaczą-
cym deszczem, gdzie bór sosnowy, żywicznymi aromaty dy-
szący, gdzie noclegi na pastwisku i piosenka po rosie biegnąca
i hukanie z całej piersi na uciechę? Daleko zostały! — tak
daleko, że myśl nie przywykła do szybkiego przerzucania się
z rzeczywistości dzisiejszej w minioną, nie zawsze trafić do
nich może. Oderwani od łona karmicielki z pod słomianej
strzechy w koszarowy regulamin wepchnięci, do kościoła się
garną, jako do domu, który, Bożym będąc, jest zarazem jedy-
nym tutaj ich domem i modlą się z rozrzuwionem skupieniem
wygnańców, do których z ojczyzny wieść dochodzi...

Gdziekolwiek tylko „inteligencik“ jaki, strychulcem
służbowym z siermiężnymi zrównany, zerka okiem na twa-
rzyćki kobiece, lub pocziwem ogarnięty zamyśleniem, we
własny świat odbiega duchem i komunię wspomnień spożywa.
Nie modli się — z twarzy mu to widać — lecz i on także
nowem, a znojnem i pół-dzikim życiem zgnębiony, rad wita
chwilę dusznego obcowania z rodziną i z krajem i z uczuciem
ulgi wciąga w pierś technienie — z nad poziomów skądś...
czy z zaświatów — ku rozmodlonym rzeszom wiejące...

Wchodzę w szary ten tłum, wiara i dolą mi bratni i po-
woli się przeciskając między żołnierzami, rzucam okiem w roz-
twarte książki do nabożeństwa. Wielu czyta modlitwy „podczas
Mszy Świętej“, niektórzy odmawiają litanie lub koronkę do
Przemienienia Pańskiego. Nieboraczek jeden powolnym, utru-
dnionym ust ruchem sylabizuje „modlitwę nieplodnej niewiasty“,
sąsiad jego żarliwie prosi Boga „o szczęśliwy powrót do kraju“,
a mizerny jakiś żołnierz z łagodnem, błękitnem okiem czy-
stej słowiańskiej krwi kmiecia, rekruckiego nie wyplakawszy
znać jeszcze żalu, długo przerzuca karty książki, zanim znajdzie
stronicę, na której czerni się napis: „Modlitwa na czas próby
i cierpienia“. Znalazłszy ją nareszcie, pogrąża się w niej cały
z takim przejęciem, że aż drgają mu spuszczone powieki,
a z pod krótkiej, jasnej rzęsy łą sączy się powoli.

Analfabetów niewielu. Są wszakże i oto jeden z nich
bijąc się w piersi i oka nie spuszczać z jaśniejącej wysoko
ponad ołtarzem monstrancyi, podniesionym do półgłosu prawie
szepem, z pamięci odmawia to, co wieśniak nazywa „pacie-
rzem“. Ucha mego dolatują wyrazy: „Czwarte: Będiesz czeił
ojca twego i matkę swoją“. Machinalnie powtarzać się je zdają
usta biedaka, ale gdy to czynią, wyobraźnia przenosi go może
w wiejski ten kościółek, w którym go słów prawdy Bożej

uczono, a w oczach stają mu zapewne, z pośród promieni monstrancyi wyzierające, twarze rodziców łaskawe, prostacze, od kolebki codziem widywane twarze, z oczu teraz na długo stracone . . . Kto wie, czy je kiedy jeszcze zobaczy, zanim się pod trumny wiekiem ukryją?.. Więc wzdycha głęboko, jęklwie i ciągnie dalej wyraźnym, przez wszystkich naokoło słyszanym szepetem: „Piąte: Nie zabijaj . . . Szóste . . .

Dopóki się Msza św. odprawia, każdy modli się, jak mu serce podpowiada, lub wskazuje porządek zawartych w książce modlitw. Ale gdy Mszę skończywszy, zaintonuje ksiądz: „Święty Boże“, wtedy wszyscy, jak jeden, rzucają się z głuchym łoskotem na klęczki i całą siłą młodego, zdrowych piersi głosu, podejmują nutę Suplikacyi. Z oczyma wlepionemi w ołtarz, z rękoma, których zaplecione palce odruchowo się cisną do piersi, rozkołysanej niepojętem dla nich samych wzruszeniem, nie strojnym a zgodnym przecie chórem, wszyscy razem śpiewają: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny“.

Napięciem dusznego podniesienia drżą im głosy, drga wstrząśnione nimi powietrze, wydłużony świec płomień migocze sinawym ognikiem, błękitna chmura dymu, rozwiana w mgłę przejrzystych obłoczków snuje się pod sklepieniem, niby cien piór z anielskiego skrzydła uronionych, a oni coraz szerzej z otwartemi usty, z coraz większem napięciem błagania i mimowiednej skargi modlitewnym krzykiem w niebo biją . . .

. . . A w tem ogromnem, prostem do Ojca Niebieskiego wołaniu słyszę, jak łka i płacze namiętna, uparta, półdziecięcych serc chłopskich prosba: „Boże, który ojcom naszym złotem zbożem błogosławisz — Boże, który na głowy dziewcząt naszych, zdobne kwiatami przetykaną kosą, łaskawie spoglądasz z wysoka — Boże, do którego wyciągają się w modlitwie twarde, spracowane matek naszych dłonie. Zmiłuj się nad nami, zmiłuj! Do rodzinnych wiosek daj powrócić!

. . . Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny!..

6. marca, 1894.

Nad obszarem wód, których przezczysty szafir mdlał w niedościgłej wzrokiem dali, samotnie siedziała kobieta . . . U nóg jej — wielka pustosz otchłani, rytmicznym rozkołysanej szumem; wokoło niej — z pustek największa: ta, którą zieją pamiątek próżne miejsca i z obcych ludzi zbiegowiska. Nad głową jej, po niebie rozbłękitnionem już pierwszemi wiosny zalecankami, gonił się rój chmurek białawych, tchnieniem

wiatru na pasma rozsnutych, postrzępionych na obłoczki rozwiewne. Lekkim podmuchem gnał je wiatr w stronę zachodu, gdzie nasiąkały złotem, nabierały purpurą, zapływały wszystkimi fioleto tonami, zachodziły opalu mieniacem się migotaniem i cały świetnych barw przepych, całe blasków i refleksów bogactwa odbijały w srebrzystolazurowej toni, zwierciadlanem obliczem w nie wpatrzonej.

Ona, przedwieczornych powiewów pieśczętą leciutko wstrząsana, chłonęła świetlistą tę wspaniałość, roztopiała ją w kryształów swych przeźroczu, rozszczeniała na tęcz snopy, na strzał płomienistych pęki krzesłała z nich iskierki lotne roje, krwawych gloriy wiła girlandy, w pożarne rozdmuchiwała je łuny, aż całą nieba kopułę i własnego łona głębinę zamieniła w dwie czasy olbrzymie, lazurem, purpurą i seledynem emaliowane wzorzyście, świetlistością przeźroczą nalane po sam brzeg stykających się z sobą wrębów.

Zapamiętana, zapatrzona siedziała tak samotnica przez chwilę. Jak długo? Któż wiedzieć to może? Tyle, ile potrzeba czasu, aby myśl wymknęła się do swoich, serce zadrgało tęsknotą, wyobrażenia złudziła wzrok widokiem innego krajobrazu, słuch popieściła innych dźwięków melodyą, owiała wonią ojczystrych łąk i łąków...

Tyle czasu tylko... nie więcej!

Alte gdy siedząca, oeknąwszy się z zadumy, świadomie znouw spojrzęła, na zbladłe łono topieli siały się już z nieba szare pyliny pomroki. Czyżo a cicho z królestwa nocy nadbiegłszy, ciemnicy wysłanki i zwiastunki, tumanem zmierzchu zmąciły powietrzne przeźrocza, zdmuchnęły pożarów łuny, barwom i blaskom świetną ich wzorzystość ukradły, sieci swoich strzępami zasłuły tęczę i glorie. Świat, przed chwilą barw przepychem umalowany, życia wielmożnością piękny, w przemienienia godach cały złotymi ogniami rozbłysły, teraz, jakby nagłem zjęty omdleniem, lub przedśmiertną rozebrany niemocą, zszarzał, zbladł, zmartwiał pod spadłych nań cieni oponą. Zamiast kształtów — widma i form początki, zamiast barw bachanalii — pokutnych całunów płachty, zamiast pryzmatów i zwierciadeł — próżni czerniejący bezmiar! Ciemność pchała się na powieki, obezwładniała źrenice, promienione wzroku zaporą się kładła nieprzebitą... Ona — Nicose, Bezład, Negacya — panowanie obejmywa nad Życiem!

Jak długo trwała ta chwila? Dokładnie powiedzieć trudno... Tyle czasu, ile go potrzeba na to, aby zniechęceniem zesłała moralna dźwignia nadziei, aby zwątpienie zachwiało

najsilniejszą z podwalin: wiarę w pożytek pracy, w przewagę prawdy, w majestat zacności i cnoty . . .

Tyle tylko czasu . . . ach! długo! . . .

Ale, gdy siedząca samotnie kobieta, wyrwawszy się z bolesnej zadumy, znowu spojrzała na świat źrenicą, do przyjmowania zewnętrznych wrażeń ocknioną, ujrzała przed sobą nową zmianę. Bezbrzeżnej wód roztoczy nie odcinała już od nieboskłonu najwęższa bodaj jasności smuga, ale od czarnego tła przestrzeni odrywać się poczynają niewyraźnie majaczące, bezkształtne, chaotycznie zwiłkane czarności szmaty i słaniały się leniwym ruchem nad mrokiem przywaloną, niewidzialną, nieruchomo zaległą bezdenią.

Ona, ze zgaszonym nocą obliczem, z gardzielią zmierzchem zapechaną, nie mogła już odbijać z ciemności zwianych widziadeł . . . Więc natarczywe, zuchwałe, zwieszwały się nad nią coraz niżej, tak — że chwilami zdawały się dotykać jej piersi, głuchem wzdętej westchnieniem, zdawały się pełzać po niej, jak robactwo po gnijącym na dnie mogiły trupie . . . Potworne, nieujętością groźne, wrogim zastępem najezdniczym spadały na tę, która w chwili zachodu mnożyła do nieskończoności wszystkie jego ognie i blaski i przejrzyste łono malowało tęcz nie policzonych pręgami!

Aż wreszcie, zdaleka kędyś, z za krańca ciemnością nakrytego morza, wysunęło się na widnokrąg, chmur krepą przestłonięte, bladeścią omglone widmo księżycy i nieśmiało przezierać poczęło z za grubych, zgęszczonych mroków, zalegających cały przestwór powietrzny, od stropu niebios aż do wodnej przepaści poziomu. Zwolna nasiąkająca światłem pomroka, z nieruchomej, w nieprzeniknioną czarność zbitej, stawać się teraz poczyniała niby szaro-srebrzystej opony draperyą, której lekkie a sute fałdy, tracone boginki może jakiej technieniem, niosły się w górę białawym mgły zwojem, rozwiewały się w powietrzu w perłowych oparów obłoki.

A toń, przed chwilą w cienia objęciach zmartwiwała, z Nocą w jedność zlana nierozłączna, toń dysząca tajemniczą ciemnością grozą, znowu teraz zwierciadlanem patrzyła obliczem i znowu życia zaczynało w niej bić tętno, bo oto miękko i cicho, jak swawolące ukradkiem dzieci, jeły sobie pale z kołyski do kołyski przerzucać garście roztopionego srebra, księżycowym promieniom ukradzione i połyskliwe ciemnego lazuru bryły odbite od powierzchni odmetu!

Czy długo trwał ten stopniowy powrót do życia, to powstawanie z martwych światła?

Nie zdawała sobie sprawy patrząca. Gdy wskrzesza to, co umarłem być się zdawało, gdy pierzechają straszne widziadeł nocnych mary, gorączkowo wyteżona uwaga chwil z zegarkiem w rękę nie liczy . . .

Godzina mgnieniem oka się wyda!

I w mgnieniu też oka czarodziejska zaszła przemiana. Szerokim szlakiem srebrzystym słała się teraz miesięczna poświata na wód szybie, leciutkiem falowaniem pokarbowanej. Po szlaku tym, drgająca siecią blasków zaczepionym o tarczę księżycową, jak po jakóbowej niegdźś drabinie, zstępować poczęły ku samotnej dobre, piękne, sercem pozdrawiane anioły: przeszłości widma drogie, przyszłości prorocze moze widzenia. Zagrobową ocienione tajemnicą, spowite mistycznym niezrodzonych jeszcze istnień nimbem, wyniosłe i uroczyste, lub łaskawe i ciche, tłumem całym szły ku niej, a wszystkie zamiast serca, płomień, jak gwiazda gorejący, miały w piersi . . . czysty, wielki, ofiarny płomień — Miłości.

Co było jej przedmiotem? O to pytać nie potrzebowała ta, której serce ten sam płomień ożywiał i trawił . . . Po tych, którzy istnieć przestali, otrzymała go w spadku — tym, którzy jeszcze nie istnieli, przekazać go miała nadzieję. Służebnością nigdy z sumienia nie zdjętą, zaszczytem dziedzicznie z pokolenia w pokolenie przechodzącym był dla niej ów płomień, po którym, jak po znamięniu rodzinem, poznawały się duchy bratnie . . . „Pochwalony bądź, o najświętszy z zażegnanych przez ludzkość zniczów! — wołały wszystkie zgodnym chórem, w całopalnej doni ochotne serca, jak pszczoł roje, sobie garniesz . . . Czołem tobie! Przez ciebie ducha-śmy nie dali“ . . .

A gdy snując tak przedzę wspomnień i rojeń, siedziała nie samotna już teraz kobieta, w świetlisty szlak wpatrzona, nagle, z poza ostatniego już ze ślanających się po niebie Nocy rąbków, wyjrzała gwiazdeczka maleńka, lecz tak żywym błyszcząca ogniem, za pod sypiącym się z niej gradem szczerzłotego blasku ugięła się i splątała srebrna sieć księżycowych promieni.

I zdało się patrzącej, że w tejsze chwili, wśród tłumy ciichych postaci z sercem w piersi, jak gwiazda, rozgorzałem, strzelił jeden płomień więcej — że jednym więcej żywym ogniem związały się mogiły z kolebkami . . .

Wróciwszy do siebie, zastała telegram, oznajmiający jej o przybyciu na świat wnuczki.